Tom II. Nr. 9.

21. Marca 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dalsze opowiadanie Wojciecha

O PODRÓZY NA ŚW. KALWARJĘ.

Józef zdjęty okrutną ciekawością z tego, co mu Wojciech o Niepołomickim kościele naopowiadał, nie mógł już i obiadu spokojnie zjeść, ale co tchu, jedną ręką otarł gębę, a drugą łap za czapkę — i dalej leci do sąsiada Wojciecha, który także ledwo co poobiadował, i szedł do ogrodu zajrzeć na pszczoły.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków Amen — odrzekł Wojciech. Cóż was tu prowadzi do mnie, mój Józefie?

— A i cóżby jeno te pogwarki wasze o tych kościołach. Radbym co tchu wiedzieć i o tym klasztorze, co to w nim Panny Zakonne siedzą.

— Dobry rok na pszczoły; prawi Wojciech — idą cięto; patrzcie co to obnoża! To co innego te nowotne ule. Niech tam Pan Bóg da jak najdłuższe lata temu księdzu Dzierżonowi, że te ule nowe wymyślił. Przecie to nie ma jak Polak! co rozumem swym zfunduje, to już nikt lepiej nie wypraktykuje. Nasze

pasieki, dziękować Bogu, będą inaczej teraz dopisywać. Ale o tem potem, bo ja prawię o pszczołach, a wam co innego na myśli.

Otóż mój Józefie, jakiem się wyrwał z Niepołomic, tak dalej przez las. Ciężka to droga, bo same piachy; więc się trochę człek zasapał. Ale jakem ci wlazł za bramę na dziedziniec, co w nim pełno ogródków z przeczystemi pachniącemi kwiatami, zaraz człek lżej odetchnął.

Walę więc prosto ku kościołowi. Prawie poczęli sygnować — kościół otwarty. Włażę, ani człeka; ale słyszę czyste śpiewanie jakieś, aż ono ci z góry, jak to i w naszym kościele z chóru wychodziło — głos słyszałeś — a więcej ani iskry.

Zmówiłem pacierz i myślę, żeby kogo napaść, coby człekowi chciał coś powiedzieć. Wychodzę z kościoła, aliści idzie ku mnie jakiś bardzo stareńki ksiądz i zdało mi się, że już ma obeszło sto lat — tak się bardzo ku ziemi pochylił. Trzymał ci koronkę w obu rękach i głośno mówił pacierze.

Pochwaliłem Pana Jezusa, uchwyciłem go za nogi i rzekę: Jestem z przeproszeniem Jegomości Dobrodzieja podróżny na Kalwarję św. a chciałbym się też co o tym tu kościele dowiedzieć. —

— O najchętniej! rzecze poczciwy staruszek i wyjąwszy tęgą tabakierę: — Zażyjcie, rzecze, bo to widzicie, stary jak zażyje, to i pamięć się odświeży. Staremu, to już i pamięć nie służy, zwłaszcza jak kto za młodu nie pochylał ku ziemi głowy, kiedy szło o wspólną sprawę. Człowiek nie za piecem lata styrał, jak widzicie — i tu pokazał tęgą kresę przez głowę. Ale żebyście nie myśleli, że ja ksiądz, bo ja tylko braciszek od Ojców Jezuitów, a rodem aż z Litwy. Żebym miał dawne nogi, tobym do mej wsi ledwo za miesiąc zaszedł; a teraz to już ani dudu. Odchodziłem ja już swoje za tym naszym Kościuszką, jeżeliście o nim słyszeli, co to chłopami wojował naprzeciw Moskali. I on już dawno w ziemi, a ja jego stary wiarus— służę teraz innemu wodzowi, ot temu na krzyżu—i ucałował wizerunek Pana Jezusa, co go z zanadrza wyciągnął, i dał i mnie do ucałowania.

— Ale, powiada dalej, rozgadałem się o tych dawnych czasach, a wam się spieszy. Tak to stary gaduła kontent, kiedy wspomni na dawne lata. —

Ot widzicie, kościół ten i klasztor ma przeszło 600 lat, bo roku 1216 stawiony. Fundował go Klemens Jaxa Branicki, bardzo możny Pan Polski, który więcej kościołów i klasztorów nabudował, jak ich inni widzieli, a ten tutaj podobno ostatni zbudował. Miał jednę tylko córkę, co jej na imię było Wizenna. Otóż jak klasztor ten wystawił, Panny Zakonne z Francyi sprowadził, tak też oddał im wszystkie swoje dobra i tę jedynaczkę córkę Wizennę, która była pierwszą ksienią nad innemi pannami. Oto cała historja na onym obrazie. — I pokazał mi obraz, na którym ten Pan Branicki, i jego żona, i Panny Zakonne i córka były namalowane — a przy ich nogach leży małe w pieluchach dzieciątko. Pytam co to znaczy, staruszka, a on mi na to:

— Oto widzicie, gdy już pan Branicki zapisał wszystkie dobra klasztorowi, narodził mu się syn. A gdy o tem dowiedziała się Wizenna, rzekła: — Tylko do jutra będzie żył. I tak się też stało. Na drugi dzień dzieciątko umarło, i dla tego to nazwano go: *Dojutrek*. Dojutrek leży z rodzicami i z Wizenną w cynowej na kłótkę zamkniętej trumnie.

Potem zaprowadził ci mnie on staruszek do kaplicy Matki Boskiej Bolesnej, odsłonił obraz i rzekł: — Ten obraz tak dawny jak kościół.

Jakem ci podniósł oczy na niego, zakroiło mi w sercu i ani rusz, musiałem płakać. Bo i któżby nie zapłakał, patrząc na te siedem mieczów i na te łzy, co spadają po najświętszej twarzy za grzechy nasze!

— Otóż, mówił mój staruszek, nie długo po zbudowaniu tego klasztoru, lud dziki pogański, Tatarami zwany, co najechał polskie kraje i wszystko mieczem i ogniem niszczył, wpadł do klasztoru i onym kurytarzem aż pod tę kaplicę przyszedł. Ale tu nagle Tatarzy pociemnieli, a nie widząc nic dalej przed sobą, z okrutnym strachem z klasztoru uciekli. I tak ta cudowna Matka bolesna ocaliła swą opieką Panny Zakonne od śmierci.

*

— A cóż znaczy ten obraz, co to na nim jakiś pono chory na łóżku leży? zapytałem staruszka.

— To widzicie taka znowu historja: Blisko przed 50 laty stał tu w Niepołomicach oficer od wojska, a nazywał się Zeramb. Jako pan z panów, bywał w tej kapliczce i modlił się często. Potem trzeba było, że po kilkunastu latach zachorował bardzo w Wiedniu, a gdy mu lekarze nic pomódz nie mogli, ofiarował się Matce Boskiej w tym obrazie. Miał też widzenie tej Matki Bolesnej i wnet został zdrów. Na pamiątkę tej łaski doznanej, dał ten obraz namalować i prosił, aby obok ołtarza był w kaplicy zawieszony. Sam zaś Zeramb wstąpił potem do bardzo ostrego klasztoru Trapistów, chodził prawie tylko o pieczonych ziemniakach do Ziemi świętej i bardzo świątobliwą potem umarł śmiercią. Tu się też modlił, prawił dalej staruszek, nasz ks. Antoniewicz siedm dni przed swoją śmiercią. Nie mógł się oderwać od tego św. miejsca, jakby przeczuwał, że się tu poleca opiece Matce Bolesnej po raz ostatni.

Tak widzicie, cicho ale cudownie mieszka tu ta Najświętsza Matka Boska, a kto tu idzie z ufnością — ten pewnie nie odejdzie bez pociechy. Jej siedm mieczów boleści mają większą moc, jak tysiące pałaszy w rękach walecznych żołnierzy.

Pokazywał ci mi on staruszek i inne obrazy w ołtarzach, za com też jego ucałował rękę a on błogosławiąc mnie do dalszej drogi, rzekł: — Idźże zdrów, a na górze ukrzyżowania módl się za mną, ażebym to, czegom dawniej nie mógł wysłużyć pałaszem, mógł teraz tą oto koronką wyprosić u Boga. —

Józef podziękował za pogwarkę Wojciechowi i odszedł z tą myślą, żeby jak najprędzej mógł to wszystko oczami swemi oglądać. Jakoż puścił się na Niepołomice i Staniątki na następujący odpust do św. Kalwaryi. W Niepołomicach tyle się jeszcze więcej dowiedział, że ów kościelny, co mu Karol na imię, ten nowy ołtarz św. Antoniego za 600 reńskich wyfundował, a uskładał je z tych grajcarków, co mu ludzie jako kościelnemu ofiarowali.

Najcięższa łza.

Z rana do zmroku jak zajrzeć okiem,
Wóz się przetacza polem szerokiem,
A za nim ludzie z wzgórza do wzgórza —
Zwiezionych trupów góra już duża,
A jeszcze nie ma ani połowy
Z porozrzucanej po bitwie dniowej.

Jaskrawe słońce spokojnie schodzi...
Po jedynaku matka zawodzi;
Daremnie dźwiga trupa pod ramię;
Głowa wciąż spada, ciało się łamie,
Oko w kół stoi, wiatr włosy rusza...
Hej! poszła sobie duszyczka dusza.

— Synu! mój synu! jedyne dziecię,
To ja już sama będę na świecie?
Nikt mi ubogiej pomocy nie da?
O! moje dziecko, biedaż mnie bieda!

— Synu! mój synu! nieboga twoja
Leci od wioski, hoża dziewoja,
Zbożem na przełaj, ścieżką deptaną —
O! mój kwiateczku, zwiądłżeś mi rano!

Synu! mój synu! gdy przyjdą wrogi,
Już się nie porwiesz na równe nogi,
Kosa się twoja w chacie zardzewi,
Pérz się z łopuchą w polu rozkrzewi,
Trawą do stajni zarośnie ścieżka,
W twojej świetlicy obcy zamieszka,
I twoją żonę i drobne dzieci
Przez próg przerzucać będzie jak śmieci.

Dałabyś pokój matko rodzona —
Widzisz jak broczy rana czerwona,
Jak się krew stacza z zmarłego boku,
Widzisz jak woda zbiera się w oku —

Przyjrzej się matko, mateńko luba,
Jak mu łza spada, by perła gruba.

— Boleść *synowska* do samej śmierci,
Boleść *mężowska* trumnę przewierci,
A *poojczysta* w niebie zasmuca....

T. Lenartowicz.

HISTORJA

o kłótniach Szeligów i Berdyszów, dwóch kmiecych rodzin w Gajowie — i jak się pogodzili z sobą.

Dalsze opowiadanie

Józefa z pod Krakowa.

Skończyły się żniwa, adwent był za pasem, w stodołach aż miło, cała wieś od młocków dudni, we dworze młocarnia tyrczy — a ludzie żenią się i żenią. Szeliga wytoczył proces Berdyszowi i panu, a o Walku słychać że się z Baską żeni. Baśka w komorze płacze, stary się gniewa i klnie, stara Szeligowa córce perswaduje, a Walek z nogi na nogę kuśtyka, czapkę na bakier wsadził, cygaro pali, że to bez kija ani przystępuj do niego. Pierwej był pokornym, dziś się nikomu nie ukłoni, nawet proboszczowi i panu. Berdysz stary i koniec Berdyszowski gotują mu w karczmie łaźnię; jeno że Walek mądry do karczmy nie idzie, a Berdyszów omija. Ale i na Szeligowskim końcu ludzie mówią:

— Oj daliśmy sobie, dali, żeśmy takiego włóczykija do wsi puścili.

Janek Berdysz jak mu o Walku wspomnieć — czerwienieje jak rozpalone żelazo i ściska pięści. Powiadają, że Walek dostał od niego kijem, kiedy się spotkał z nim wracającym z karczmy; a i oko ma podbite, ale się tem nie pochwali, powiada tylko, że go drzazga wycięła, kiedy drwa rąbał. Co także dziwo, to że Janek jakoś posmutniał bardzo, robota mu w skład nie idzie,

ani je, ani gada, tylko w karczmie wódkę popija. Baby powiadały że to uroki, i leczyły Jaśka, ale nic nie pomogło. Walek śmiał się z pode łba, i mówił: — Będzie on chorszy jeszcze.

Było to w Niedzielę. Ludzie hurmem sypnęli się do kościoła: byli Szeligowie i Baśka, był i Berdysz ze synem. Baśka uklękła w kącie pod filarem, sparła głowę o mur, i rzewnie płakać zaczęła. Łzy jej jak groch po gębie płynęły. Wszyscy dziwili się, co się dziewusze dzieje. Szeliga ze złości tyrpał ją za chustkę, Szeligowa cieszyła, ale trudno poradzić, jak się dziewczęce serce rozżali. Kiedy się Baśka trochę uspokoiła, zaczęła się modlić bardzo, oczy podniosła ku panu Jezusowi w ołtarzu, i choć się msza skończyła, ona klęczała jeszcze i nie dała się wyprowadzić. Szeliga zgniewany odszedł z żoną, poszli i inni ludzie — a Baśka klęczy i modli się jeszcze. Kiedy nareszcie wstała i wyszła na cmentarz, aż tu z za muru wychodzi Jasiek bardzo smutny i także z czerwonemi oczyma.

— Basiu! Basiu! kochanie, a cóż ci to?

— Ej daj mi pokój Jasiek! daj mi pokój! Nie żartuj ze mnie i nie zdziwiaj, bo ja bardzo biedna dziewczyna! — i zapłakała znowu.

— Ale moja Basiu kochana, ja nie żartuję. Mnie ledwie serce nie pęknie, kiedy widzę jak ty płaczesz.

— Ej brzydko! brzydko! tak sobie przekpiwać z nieszczęśliwego. Przecież mnie ty nie cierpisz, bo ja Szeliżanka. —

— Jużcić ty Szeliżanka a ja Berdysz — ale ja nie wiem co mi się dzieje! Kiedy ty płaczesz, to bym temu bestyi Walkowi przetrącił drugą nogę i łeb na ćwierci rozpłatał. Jakem się dowiedział że ty masz iść za niego, to sobie już miejsca znaleźć nie mogę: ani jem, ani robię, jeno bym wódkę w siebie chlał na desperacją. O dla Boga, ja nie wiem co ja zrobię, jak ty pójdziesz za niego! — I Jasiek zaczął płakać jak bóbr.

— Mój Janku, rzekła Baśka, zrobiwszy wielkie oczy — to tobie doprawdy o to chodzi? Ja zawsze myślała, żebyś mnie ty w łyżce wody utopił.

— Ale ja cię kocham, ja cię kocham, moja Basieńko! Ja nie wiem co mi się dzieje! Chciałem ci to niby dokuczać, chciałem cię wybić, żeś mi konie puszczała, i klął em na ciebie,

ale w sercu mi jakoś inaczej było. Kiedym cię zobaczył, to mi się dziwnie robiło, i chciałem gadać do ciebie, alem nie mógł. Oj Boże, mój Boże! nieszczęśliwa dola moja.

— No to i ja ci powiem, mój Jaśku, żem sobie nieraz o tobie myślała, żem lamentowała czemu ty Berdysz a nie z Szeligowskiego końca! Mój Boże, tybyś temu bestyi kuternodze wnet pokazał co umiesz. —

— Ja mu i tak pokażę, rzekł Jasiek ściskając pięści.

— Mój Janku, i cóż z tego przyjdzie. Zamkną cię do kozy, a ja tymczasem pójdę za Walka.

— Cóż robić tedy? mój Boże jedyny! Wiesz co Basiu, przyjdź jeno wieczór na ogród — wszyscy będą w karczmie, a ja będę czekał. Tam przecie co uradzimy za pomocą Bożą, abyś się temu kuternodze nie dostała.

— Ale Walek nas wypatrzy — rzekła Baśka.

— Walek dziś pójdzie do miasta po papiery — bo gadał Wickowi.

— A jużcić przyjdę, to pogadamy.

— Jeno mi się też znowu bardzo nie turbuj, moja Basiu. Za wolą Boską wszystko dobrze będzie.

Rozeszli się oboje. — Baśka do domu, Jasiek inną drogą także do chałupy. Ledwie poszli, aliści z za muru wyłazi kulawy Walek, śmieje się okrutnie i ściska pięści. Taki to był mądry kuternoga; do kościoła iść nie miał czasu, ale ludzi wypatrywać i śmiać się z czyjej niedoli, zawsze był gotów.

Dziwicie się pewnie, jak stary Szeliga tak mógł ogłupieć, żeby córkę jedynaczkę za takiego przywlokę jak Walek chcieć wydawać. Ale to już Walek tak go oczarował. Jak mu jął gadać o procesach, o gruntach, które wygra, o tem jak Berdysza upokorze i zniszczy, tak łakomy i mściwy Szeliga aż skakał z radości, i nie miał serca odmówić czego kuternodze. A że mu się córka sprzeciwiała, a był człowiek kordyaczny, więc jeszcze bardziej na to nastawał i córkę przymuszał. Biedna Baśka miała krzyż pański w domu, matka jeno pocieszała ją jak mogła, choć i ona miała co cierpieć od takiego złośnika jak mąż. Walek pierwej układny, coraz bardziej jął rej w domu wodzić, i nieraz wsiadł na matkę z Szeligą, jak na burą sukę.

Wtedy to wzdychała i płakała stara po cichu, myśląc sobie:
— Mój Boże, co to potem będzie?

Skoro przyszedł wieczór, Baśka wyśliznęła się z domu na ogród, a Janek już czekał za płotem. Chociaż byli bardzo smutni oboje, lżej im było na sercu, że się już nie niecierpieli, i że zapomnieli o swarach Berdyszów z Szeligami. Jasiek nie mógł się dosyć wydziwować, jak Szeliżanka może być nie takiem srogiem zwierzęciem, jak przódy myślał, ale dobrą, poczciwą i biedną dziewczyną. Baśka z radością spostrzegła, że żaden z Szeligowskiego końca, ani nawet sam Jantek furman, tak bardzo jej nie kochał, jak Jasiek Berdysz. Zaczęli sobie roić, jakby to dobrze było, żeby się pobrali, bo i w karczmie nie byłoby już bitek i w domu swarów i obrazy Boskiej by już nie było. Ale wnet przypomniała sobie Baśka o Walku, o nieprzyjaźni Berdyszów i Szeligów i rzekła:

— Mój Boże! co my też tu bajdurzymy. Bieda za pasem: czekać jeno jak Walek da na zapowiedzi, bo i tak jeno na *mentrykę* czeka. Lepiej by było pono, mój Janku, żebyśmy się byli nie poznali albo swarzyli do końca.

— Ej moja Baśko, ja przecie mam u Boga nadzieję. Medytował ja długo, co robić, ażem wymedytował.

— No i cóż takiego?

— Oto pójdę do dworu — do pana i pani — skłonię się — powiem wszystko. Powiem jaki ten Walek huncwot, jak go ty nie chcesz, jak płaczesz i frasujesz się, jak on już wszystkimi pomiata — jak my się mamy ku sobie. —

— Cóż z tego, mój Jaśku, kiedy tatuś pogniewali się z dworem, procesują się i już nawet na robotę nie posyłają.

— No, to znowu Walka huncwota sprawka. Powiem i to.

— Albo to pan co na to poradzi?

— E! dyć mnie sama pani nieraz ciebie raiła i gadała święte słowa: Ożeń się z Baśką. Ja głupi na to: Wolę garbatą Grabczankę. Otóż mnie pan Bóg ukarał tą niecnotą Walkiem. No! jak przecie pan konceptem ruszy, to może go i wykurzymy.

— Mój Boże! pan nic nie poradzi, choćby chciał. Teraz inne czasy. Pierwszy lepszy drągal buntuje ludzi, aby nie szli

do roboty, choćby panu wszystko na garściach zrosło, a pan musi patrzeć na to.

— Prawdać że inne czasy. No! i cóż my zrobimy, moja Basiu? Chyba tę bestyją zabiję?

— Rety Marja! co też ty gadasz! Żebyś ty miał duszę tracić dla takiego łajdaka. To ja już wolę iść za niego.

— Ale ja nie pozwolę. Pójdę do mego tatusia, plackiem mu do nóg upadnę, potem do twego — przeciem kmiecy syn, to tego gałgana wyżeną.

— Gadaj sobie! Tatuś cię zwalą kijem, że za mną latasz, a mój za drzwi wyrzucą...

— To chyba w świat pójdziemy oboje, rzekł Jasiek, załamując ręce i płacząc — w świat gdzie nas oczy poniosą!

— Żebyśmy razem siedzieli na wiarę, na obrazę Boską? O Jaśko! co też ty gadasz!

— Więc cóż robić, cóż robić, moja Basiu kochana! zawołał Jasiek, przyciskając dziewczynę do siebie. Ja bez ciebie nie wyżyję, ja się utopię!

Kiedy tak desperują oboje, sadem od chałupy Walkowej przesunął się jakiś człowiek ku Szeligowej chacie. Rozgarnął gałęzie, słuchał chwilę i znikł. Ani pacierza byś nie zmówił, a już ci hałas się robi — i od Szeligowej chałupy leci stary, matka i kilku z Szeligowskiego końca a Walek za nimi kuśtyka. Baśka krzyknęła i chciała uciekać. Jasiek widząc co się dzieje, przeskoczył płot i wyrwawszy kół, stanął przed Baśką aby ją obronić.

— Patrzcie jeno, panie wójcie — mówił kuternoga — jak tam gołębie u płota gruchają.

Szeliga pienił się od złości i rzucił się jak pies wściekły na Janka:

— Zabij! zabij! wołał. Zabić bestyją! i klął co mu ślina do ust naniosła. Podniósł też lagę ogromną na Janka.

Janek zastawił się kołem od płotu.

— Ani kroku, bo ja wam łeb rozwalę, a nie chciałbym, boście ojciec Baśki. Baśki bić nie dam, bo i tak się z nią obchodzicie jak nie z córką. Kocham Baśkę i kwita!

W tej chwili nadlatuje Berdysz z chłopami z Berdyszowskiego końca.

— Co ty gadasz, taki owaki! zawołał. Ty z taką paskudą Szeliżanką się włóczysz! Puszczaj to ścierwo, bo ja ci łeb rozwalę.

I bitka wszczęła się na dobre.

Janek trzymał Baśkę i zasłaniał pomimo razów ojca, które jako od rodzica cierpliwie znosił.

— Ojcze, ojcze kochany! co ja winien, że ja kocham Baśkę i nie chcę aby ją wydali za tego łotra kuternogę. —

— Co ci do tego! wołał Berdysz. Powinieneś się cieszyć, że pan Bóg Szeligę oślepił. Niech sobie wyda jedynaczkę za tego szubienicznika. —

— Wyście szubieniczniki! huczał Szeliga, porywając Baśkę za warkocz.

— Zmiłujcie się nad Baśką, zmiłujcie! wołał Jasiek składając ręce. —

— Stul pysk, wyrodna duszo! krzyczał Berdysz, wyciągając Jaśka z za płota.

Ale Jaśkowi przybyło zkądś siły. Rzucił się na Szeligę, porwał Baśkę skrwawioną i zbitą, trzasnął w łeb zachodzącego mu drogę Walka, że się aż przewrócił — i prosto w sień chałupy Szeligi. Chłopi za nim — chcieli zamknąć drzwi drugie — on je wywalił pchnięciem kolana — i jak koń czwałujący, leci wprost ku dworowi — a Baśkę ciągle trzyma na rękach. Chłopi zostali za nim daleko — aż ci stanął przed gankiem dworskim, gdzie pan, pani i jakiś urzędnik powiatowy pili herbatę. Wszyscy aż skoczyli z podziwienia, kiedy Jaśka ujrzeli. Baśka ledwie dychała — złożył ją więc na ziemi, a ukląkłszy przed państwem, jął mówić:

— Wielmożni państwo! ratujcie mnie i Baśkę.

Jeszcze wam dziś nie skończę tego opowiadania. Ale nie gniewajcie się bardzo! za drugim razem dopowiem wam już do reszty.

CIEKAWY WOJTUŚ.

Sól.

Nasz majster rymarski, Walenty z Przemyśla, co to go już znacie od przeszłego roku, siedzi sobie ot za stołem, a wedle niego Wojtuś, ów chłopczyk ciekawy. Obaj trzymają łyżki w pogotowiu i pilnie poglądają na panią matkę, rychło też im jeść poda.

Majster był niecierpliwej natury, toć go wnet pokorciło przyciąć żonie, dlaczego się tak guzdra z obiadem.

— A dopukisz tam będzie tego czekania! zawołał niby gniewny — tfu! niech cię nie znam matko, co taka z Waćpani guzdralska.

— Proszę ciebie, stary, nie klekocz mi nad uchem — odpowiedziała żona, trzymając zapaskę w obu rękach i dmuchając nią ustawicznie na ogień, żeby się lepiej palił. — Dosyć ja mam za swoje, co się tyle namęczę przy tem niepoczciwem drzewsku, a tu, widzicie go, jeszcze mi on będzie docinać językiem.

Walenty począł sobie gwizdać pod nosem, bo wiadomo, że Polak kiedy głodny, to gwizda. Wojtek znowu bębnił po stole trzonkiem od łyżki.

Uwinęłać się nareszcie gospoś i postawiła przed nimi misę zacierki. Zaraz też ustało i gwizdanie i bębnienie — ojciec i syn zabrali się gracko do jedzenia. Po pierwszej łyżce majster jakoś się skrzywił i popatrzył na żonę.

— Co, może nie dobre? zapytała pani majstrowa, która to skrzywienie zauważała.

— Podajno soli, bo nic a nic niesłone.

— Oj nie to, odpowie żona — ale powiedz, żeć mucha usiadła na nosie, to i dlategoś taki dziś wymyślny.

— Gdzie tam mucha! dalibóg matko, że nie wymyślam, ale kiedy bo niesłone. Wojtuś mów czy nieprawda?

— Może i niesłone; powie Wojtuś z figlarnym uśmiechem do matki.

— No to i dobrze! zawoła pani majstrowa — albo ja wam czego żałuję? i postawiła przed nimi miseczkę ze solą. — Pozwólcie sobie skoro wam niesłono.

Walenty zagarnął całą łyżką, wsypał do zacierki, zamięszał, potem posmakował, zerknął z pod oka na żonę i uśmiechnął się. Majstrowa jakoś się skrzywiła nie miło, potrząsła mieseczką z której do połowy soli ubyło, pogładziła ją niby ręką i nieznacznie odstawiła na bok.

— Ależ to babsko skąpe, na rany Chrystusa! zawoła Walenty wesoło — i czegożeś ztąd sól zabrała? albo jej tu nie było dobrze?

— O także coś! odpowie żona, a twarz jej niby od wstydu poczerwieniała, że ją złapano na gorącym uczynku. Miałabym na co być skąpa, o, o! że też to takie gadanie niedorzeczy. Choć prawdę mówiąc, stary, to mię wcale nie cieszy taki twój zbytek, bo to pieniędzy kosztuje a sam wiesz najlepiej, żeś nie bogacz i że nie masz grajcara na wyrzucenie.

— Traj, traj, traj, pani trajkotko! albo to wyrzucony pieniądz, jeślić sobie człek za swoją ciężką pracę szczypty soli więcej pozwoli?

— Piękna mi szczypta! wczoraj zaledwo jak kupiłam topkę soli a dzisiaj już gonię ostatkiem — to nie bagatela! za dobę topka soli, co kosztuje dwanaście nowych grajcarów.

— Ha co robić, matko! rzeknie na to Walenty — trudnoć sobie jeszcze tego żałować. — Ale już potem nie rzekł ani słówka, jeno się przechylił nad misą zacierki i zajadał aż mu się uszy trzęsły.

Temu wszystkiemu przysłuchiwał się Wojtek nic niemówiący. Po jedzeniu gdy już Pana Boga pochwalili i matka posprzątała ze stołu, Wojtusiowi jakby czegoś brakowało, bo się niespokojnie kręcił po izbie a zawsze na ojca poglądał. Spostrzegł to Walenty i zawoła:

— Chodź no tu, chłopcze! a głaskając go po twarzy, zapyta: Czego to Wojtek taki niecierpliwy? może czegoś ciekawy, he?

Chłopiec jeno się uśmiechnie do ojca i kiwnie głową, że tak.

— No i cóż takiego? gadaj chłopcze ale pilno; bo nie ma czasu do stracenia.

— Ot, tatulku! prawi malec — na św. Wojciecha, jak sami powiadacie, będzie mi już dziewięć lat, a jeszcze nie wiem, zkąd się ta sól bierze, co to ją ojciec tak lubi, a matula taka o nią skąpa.

Majstrowa zdaleka pogroziła synowi, majster znowu kontent, roześmiał się na całe gardło i rzeknie:

— Mój ty synu, trzeba ci wiedzieć, że pan Bóg szczególnie był łaskaw na naszą Polskę. Nie dał ci on nam wprawdzie dużo złota i śrebra, ale za to użyczył nam chlebusia i soli podostatkiem — a to jest największe bogactwo, bo bez tego żaden człowiek obstać się nie może. — Naszać ta sól nieczyja, co ją z Bożej łaski używamy. Dostaje się ją w dwojaki sposób: jedną warzą ze słonej wody i ta się zowie *warzonka;* drugą dobywają ze ziemi już gotową, a ta się nazywa *kamionka.* — W tej stronie Polski gdzie my mieszkamy, to jest od Przemyśla aże het na wschód w Kołomyjskie i do Bukowiny, bardzo dużo znajduje się takiej słonej wody. Aby z niej sól dostać, na to niewielkiego potrzeba rozumu. Dość abyś ją na ogień wystawił; a jużci sól opadnie na dół i tylko masz ją zgarnąć do beczki a skończona robota. Sól taka wywarzona z wody jest biała i miałka. — Sam tylko rząd zostawił sobie prawo warzyć lub też kopać sól, zresztą nikomu nie wolno. Dla tego wszędzie gdzie jeno jest źródło słone, stoją strażniki od rządu, i pilnują żeby ludzie tej wody nie brali. — Takie fabryki rządowe gdzie sól warzą, nazywają się *warki.* Tam od czasu do czasu zajeżdżają *solarze*, zakupują na kilka i kilkanaście fur soli i dopiero rozwożą ją w topkach lub też w beczułkach po kraju. Do Przemyśla zazwyczaj przywożą z *Lacki* od Dobromila, bo jest najbliżej. Do Sambora znowu dowożą ze *Stebnik* i *Drohobyczy* — do Stryja z *Kałuszy*, z *Doliny* i z *Bolechowa* i tak dalej, bo jużcić wszystkich tam *warek* nie pamiętam, a jest ich dużo.

Druga sól, tak nazwana *kamionka*, wydobywa się z ziemi gotowiusieńka tak, że już nic a nic wedle niej robić nie potrzeba, jeno po prostu ładować na fury, i na sprzedarz wywozić. Nie

jest ona ani taka biała, ani taka miałka jak warzonka — nie utrzesz jej na tarku jak naszą topkę, jeno musisz ją tłuc w moździerzu bo taka twarda; z barwy zaś więcej sina, niektóra też zielonawa i ta jest niby najpodlejsza. Ale trafia się, że będzie taka czysta, jak najpiękniejszy krzyształ, i ta jest znowu najlepsza. Górnicy wyrabiają z niej różne prześliczne rzeczy i takowe sprzedają nie drogo gościom, co zwiedzają kopalnie dla ciekawości. Oj, bo też to wielce ciekawa rzecz, mój Wojtusiu, te nasze kopalnie soli, jakie mamy w *Bochni* albo w *Wieliczce.* Zwłaszcza w Wieliczce to już na cały świat najsławniejsze kopalnie. Królowie, książęta i wielcy panowie ze wszystkich stron świata zjeżdżają tam na zwiedziny. Owoż i ja tam byłem, ale temu już dużo lat. Bawiłem wtedy w Krakowie jako czeladnik u jednego majstra. Z Krakowa do Wieliczki nie będzie więcej jak dobra mila. Raz tedy przy święcie zebrała się nas cała kompanija i wraz ruszyliśmy do Wieliczki. Co ja tam wtedy widział, tego ja ci chłopcze opowiedzieć nie potrafię, tak jakby należało, abyś wiedział.

— O mój tatulko! zawołał chłopiec — cóż ja teraz poczznę? takeście mię rozciekawili!...

— No, no, nie bój się! pocieszył go ojciec. Wiem ja, że to jest w jednej książce opisane doskonale przez jakąś panię... co się nazywała... ej bodaj cię, tak mi się po języku plącze... aha, już go mam: przez panią *Tańskę.* Otóż w niedzielę po nieszporach skoczę do księdza kanonika, co na nas taki łaskaw i poproszę go o tę książkę, bo wiem że ją ma — nieraz mi o niej spominał. Wtedy przeczytamy sobie we dwójkę o tej Wieliczce i nasza matka też posłucha, bo dalipan że warto. Teraz zasię do roboty, żeby było za co na jutro soli kupić.

RÓŻNOŚCI.

Tegoroczna zima. Nie ma się czem pochwalić tegoroczna zima, chybać tem, że srodze broiła pod koniec, zwłaszcza w obcych krajach. U nas jeszcze uszłaby od biedy, bo jeno co nas trocha więcej śniegami zasypała; zresztą nie wiele nam uczyniła krzywdy. Ale po innych krajach, to niech ręka Boska broni, co za breweryе wyprawiało to zimsko. I tak w jednym kraju co się nazywa *Belgia,* w końcu tamtego miesiąca biły pioruny, jakby

w największe upały. Piętnaście kościołów najpyszniejszych spaliło się od piorunu — szkoda niesłychana, bo juźcić zrozumiecie, ile to tam czasu a ile pieniędzy kosztowało na wybudowanie takich pysznych kościołów.— W tym samym prawie czasie i kraj francuski doznał siła złego od tej burzy. — W Czechach znowu takie spadły śnieżyska, że w wielu miejscach na piękne pozasypywały domostwa, a biedni ludzie musieli się dopiero na wierzch wykopywać, bo inaczej wypadłoby im z głodu umrzeć pod śniegiem.

W Węgrzech po kilka razy panowały straszne zamiecie. W taką zamieć zginęło dwóch postylonów, co jechali pocztą w nocy. Zmarzło też w różnych stronach z dwadzieścioro ludzi, których śniegi zasypały na drodze. — W innym znowu kraju ziemia się trzęsła, przyczem taki był huk jak gdyby grzmiało, choć na niebie gwiazdy świeciły i ani jednej chmurki nie było.

Otóż widzicie, że u nas jeszcze się tak źle nie działo, jak gdzieindziej tej zimy. Za co Bogu dziękować. —

Parobek. Przyszedł parobek do gospodarza, szukając służby, a był bardzo małego wzrostu.

— Wszystko to dobrze, rzekł gospodarz, drapiąc się w głowę — ale mi się widzi, że będziesz za mały do koszenia trawy.

Na to mu odpowiedział chłopak: Proszę was gospodarzu, czy każecie z góry kosić trawę?.. bo jeśli z dołu, tom do tego lepszy i zwinniejszy jak wszyscy inni wysocy.

Gospodarz się roześmiał i przyjął parobka do służby, a podobno nie pożałował tego. —

Wróżka. Jeden chłopek, filut nad filuty, kazał sobie raz babie wróżyć. Cygan baba, co na to jak na lato, zaraz do ręki i plecie jak kołowrotek; że żniwo będzie dobre; że zostanie setnym bogaczem; że mu pan Bóg da syna i ten syn będzie księdzem i Bóg nie wie co.

Skoro wróżyć skończyła, żąda zapłaty. Wtedy chłop w śmiech: — Toś mi doskonała wróżka, patrzaj! rzecze do baby — to wiesz wszystko co będzie kiedyś, a co tylko panu Bogu wiadomo; znasz przytem wszystko co jest i co było dawniej, a tego nie wiesz, żem goły jak turecki święty i nie mam złamanego szeląga? Oszust z ciebie! precz mi ztąd włóczęgo! wykpigroszu! — Babsko jak zmyte, spuściwszy uszy po sobie, wyniosło się za drzwi. —

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Według stawu syp groble.
2. Tłustego połcia nigdy nie smaruj.
3. Zawsze się oglądaj na tylne koła.
4. Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą.

Redaktor: B. Bielawski. Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**